Frank Belknap Long

Człowiek, którego stworzyli Marsjanie

(The Man the Martians Made)

Fantastic Universe, January 1954
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Do obozu zawitała śmierć.

Kiedy się obudziłem wiedziałem, że przybyła już wcześniej aby towarzyszyć nam w nocy i czekała teraz na brzask, który zaleje pustynię światłem słońca. Czułem swędzenie na karku, u podstawy włosów, i zlany byłem cały zimnym potem.

Przez chwilę miałem ochotę zerwać się i pobiec na oślep w ciemność. Opanowałem się jednak. Skrzyżowałem ręce na piersiach i czekałem aż niebo się trochę rozjaśni.

Świt na Marsie jest czymś, o czym nawet nie marzyłeś. Budzisz się o poranku, i oto on – jasny, czysty błyszczący. Możesz się uszczypnąć, usiąść prosto i przetrzeć oczy, a on nie znika.

Potem przypatrujesz się swym dłoniom, z ogromnymi odciskami. Sięgasz po lusterko, żeby rzucić okiem na twarz. Nie wygląda zbyt dobrze. To były te brzydkie strony całego obrazu. Rozglądasz się dokoła i widzisz Ralpha. Widzisz Harry'ego. Widzisz kobiety.

Na Ziemi, kobieta może nie osiągać maksimum swej olśniewającej urody w ostrym świetle wczesnego brzasku, ale jeśli jest naprawdę piękna, nie wygląda aż tak źle. Na Marsie nawet najpiękniejsza kobieta, wstając z łóżka wygląda na złą, za bardzo zmęczoną i udręczoną ludzkimi słabościami, by wziąć prefabrykowaną metalową szopę i zmienić ją w prawdziwy dom dla mężczyzny.

Na Marsie, trzeba przyjąć wiele różnych rzeczy. Pierwszą sprawą jest zaakceptowanie bólu i niedostatku, jako powszechnej normy. Trzeba przywyknąć do ciężkiego życia na pustyni w obozach prowizorycznych baraków budowlanych, z wszechobecnym czerwonym pyłem powodującym, że czujesz się pusty od środka i wyschnięty na wiór. Powodującym, że czujesz się jak bęben, wyschnięty strąk grochu, solona ryba wisząca w suszarni. Pył, trzeszczący wszędzie wewnątrz ciebie, do tego woda z kanałów, przesączająca się przez zniszczone podeszwy twoich butów.

Dalej, na przykład, budzisz się i rozglądasz. Poprzedniej nocy, nazbierałeś suchego drewna niesionego przez wiatr i ułożyłeś je sobie w zgrabny stos, aby rozpalić ogień. Drewno zniknęło. Ktoś ukradł twoje bezcenne drewno. Marsjanie? Kombinuj dalej.

Wstajesz z łóżka i idziesz gniewnie postawionymi ramionami prosto do Ralpha. Pytasz:

— Ralph, dlaczego u diabła ukradłeś moje drewno?

Oczywiście, te słowa wypowiadasz w myślach. Mówisz to Dickowi, mówisz Harry'emu. Ale naprawdę, na głos, oznajmiasz:

— Ostatniej nocy, znowu był tu Larsen!

Mówisz tak zawsze. Zostawiłem rybę do gotowania i Larsen ją zjadł. Miałem fajną talię kart, błyszczących i nowych, a Larsem wziął je i

poznaczył. To nie ja oszukiwałem. To Larsen chciał żebym wygrał, aby zaczaić się potem na mnie na pustyni i zabrać mi wszystkie pieniądze.

Masz dziewczynę. W obozach nie ma zbyt wielu dziewczyn, wypełnionych śmiechem, światłem i ogniem. Ale parę jest, i jeżeli masz szczęście, snujesz fantazje o jakiejś określonej dziewczynie – jej pełnych, czerwonych wargach i złotych włosach. A potem, zupełnie nagle, ona znika. Ktoś z nią ucieka. To Larsen.

W każdym człowieku drzemie gigant. Kiedy nurt życia z hukiem rzuca cię na twardą i pionierską planetę, musisz uszanować chłopaków dzielących z tobą wspólny los, nawet jeśli ich odruchy są tak ostre jak rozbłysk światła słonecznego na wypolerowanym przez wichry pustyni nagrobku.

Wymyśliłeś nazwisko – Larsen. Zacząłeś zupełnie od podstaw i rozbudowywałeś postać Larsena, aż wreszcie masz w głowie jego wyraźny obraz. Tworzyłeś ją, i w końcu zmienił się on w ogromnego, szumnego, chełpliwego, wspaniałego człowieka, jak Paul Bunyan.

Nawet zła legenda, na Marsie może wydawać się wspaniała. Larsen nie był takim zwykłym olbrzymem drzemiącym we mnie – czy też w Dicku, czy Harrym. On był olbrzymem drzemiącym w nas wszystkich, i to czyniło go takim niesamowitym. Wszystko co olbrzymie, ma w sobie piękno, siłę i przyciąga do siebie.

Sami nie byliśmy w stanie niczego zrobić z taką energią jak Larsen, a więc jeśli ujawniało się jakieś ogromne zło, jakże mogłoby ono zostać popełnione przez nas? I tu na scenę wkracza Larsen! Wszystkie winy spadają na jego barki, ale on nie czuje ich brzemienia, ponieważ jest pierworodnym w Edenie, dzieckiem, które nigdy nie dorosło, roześmianym chłopcem, Herkulesem dźwigającym świat na ramionach, szukającym kobiety o długich, lśniących puklach i oczach jak gwiazdy na niebie, która nagnie się do jego woli.

Gdyby taka kobieta pojawiła się w ramionach Herkulesa, czy podjąłbyś się zadania powstrzymania go przed rozwaleniem świata w kawałki? Czy w ogóle próbowałbyś to zrobić?

Nie rozumiesz? Larsen był nam bliższy niż oddech i równie niezbędny do życia jak jedzenie, picie, czy nasze sny o jasnym jutrze. Nie myśl, że czasami go nie nienawidziliśmy. Nie myśl, że go nie przeklinaliśmy i nie lżyliśmy go. Człowiek może wychwalać legendę aż po niebiosa, ale jej blask nigdy nie pozostaje bez skazy.

Larsen nigdy nie stałby się dla nas w pełni rzeczywisty, gdybyśmy nie wyposażyli go w mięśnie, ulegające zmęczeniu, czy oczy mogące kleić się i zamykać ze znużenia. Larsen musiał spać, tak samo jak my. Mógł znikać na wiele dni.

Puszczaliśmy do siebie oko i mówiliśmy:

— Tym razem, Larsen zrobił sobie całkiem niezły odpoczynek. Ale nie martwcie się, wróci z czymś nowym w zanadrzu!

Mogliśmy sobie z tego żartować, no pewnie. Kiedy Larsen kradł, albo oszukiwał, mogliśmy udawać, że los dał nam trefne kości – nie była to prawdziwa żądza mordu, lecz pokaz aktorski pełen wściekłych wrzasków, kończący się coraz potężniejszymi wybuchami wesołości.

Zdarzały się jednak także bardziej niebezpieczne gry, i to znacznie. Leżałem więc bez ruchu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i pociłem się każdym porem mego ciała. Popatrzyłem na Harry'ego. Pracowaliśmy przez całą noc przy kopaniu studni, i za parę dni powinna z niej trysnąć woda, słodka i zimna, a my nie będziemy musieli chodzić do kanału, żeby napełnić nasze naczynia do gotowania. Harry mrugał oczyma, kręcił się i od razu widać było, że jego też dręczy jakiś niepokój. Popatrzyłem poza niego, na krąg baraków.

Większość z nas spała na świeżym powietrzu, ale w barakach było trochę dzieci i kobiet za bardzo wyczerpanych ciężką robotą, żeby się przejmować, czy śpią w smolistych ciemnościach, czy pod czystym, zimnym światłem gwiazd.

Podniosłem się powoli na kolana, zaczerpnąłem garść piachu i pozwoliłem, by powoli przeleciał mi on przez palce. Harry popatrzył prosto na mnie i oczy rozszerzyły mu się z niepokoju. Musiało mu chyba chodzić o wygląd mojej twarzy. Wstał i podszedł do miejsca gdzie siedziałem, z lekko wykrzywionymi ustami. W Harrym nie było niczego specjalnie uspokajającego. Życie nie było dla niego miłe i nauczył się przyjmowania ciosów i kopniaków złośliwego losu, bez protestu. Miał jedną z tych wyniszczonych, chudych niemal jak czaszka, twarzy, które straszą dzieci i powodują, że kobietom chce się płakać.

— Nie wyglądasz dobrze, Tom — odezwał się. — Jesteś za ostry dla siebie.

Szybko się rozejrzałem. Musiałem mu od razu powiedzieć co się stało, ale każda budząca strach rzecz mogła już do końca zdemoralizować Harry'ego i spowodować, że schowa głowę w rękach w ślepej panice. Nie byłem jednak w stanie już ani chwili dłużej dusić tego w sobie.

— Siadaj, Harry — wyszeptałem. — Muszę z tobą porozmawiać. Nie ma sensu budzić innych.

— Och — odparł.

Przykucnął koło mnie na piasku, z oczyma utkwionymi pytająco w mojej twarzy.

— O co chodzi, Tom?

— Słyszałem krzyk — wyjaśniłem. — Brzmiał naprawdę strasznie. Ktoś został ranny – poważnie. To mnie obudziło, a to jest spore osiągnięcie.

Harry skinął głową.

— Śpisz jak kłoda — przyznał.

— Na razie tylko leżałem, nasłuchiwałem — mówiłem dalej — i trzymałem oczy szeroko otwarte. Coś poruszyło się od strony studni – coś dwunogiego. Nie wydawało żadnych dźwięków. Było duże, Harry, i zdawało roztapiać się w ciemnościach. Nie wiem, co mnie powstrzymało od tego, by zerwać się i rzucić za tym w pościg. Musiałem najpierw coś zrobić z sobą samym. Cały byłem jakby zamrożony w środku.

Harry wydawał się rozumieć. Skinął głową, a jego wzrok pomknął w stronę studni.

— Jak dawno temu to było?

— Dziesięć – piętnaście minut.

— I tylko czekałeś na mnie, aż się obudzę?

— Zgadza się — odparłem. — W tym krzyku było coś takiego, że wolałem odłożyć sprawdzanie co się dzieje. We dwójkę raźniej – a kiedy stajesz twarzą w twarz, wobec czegoś takiego, to lepiej trochę porozmawiać, zanim zacznie się działać.

Widziałem, że Harry był zadowolony. Wytrącony z równowagi też, i straszliwie wstrząśnięty. Ale był zadowolony, że zwróciłem się do niego jako do przyjaciela, któremu mogłem zaufać. Kiedy nie ma się niczego innego pewnego w życiu, dobrze jest chociaż wiedzieć, że ma się przyjaciela.

Zmiotłem piasek ze spodni i wstałem.

— Chodźmy — powiedziałem. — Rzucimy okiem.

Była to dla niego trudna chwila. Twarz mu się wykrzywiła, a oczy zatrzepotały. Wiedział, że nie kłamałem odnośnie tego krzyku. Jeśli pojedynczy krzyk tak bardzo mnie poruszył, to musiało być coś paskudnego.

Ruszyliśmy ku studni w kompletnej ciszy. Wszędzie wokół było pełno cieni, zimnych i odstręczających. Wydawały się być niemalże jak ludzie, szeptały do siebie, zbijały się razem w złowieszczej plotkarskiej ciszy, świadome tego co możemy znaleźć.

Od ogniska do studni było sześćdziesiąt stóp. Szliśmy w słońcu – szliśmy w jasnym, gorącym słońcu Marsa, spodziewając się że na końcu naszego marszu możemy napotkać coś strasznego.

I coś strasznego tam było. Harry'emu wyrwał się cichy odgłos jakby się dusił, gdzieś w głębi gardła, a mnie serce zaczęło walić jak ogromny bęben.

II

Leżący na piasku człowiek nie miał w ogóle czubka głowy. Jego czaszka była rozbita i tak ohydnie spłaszczona, że zdawało się iż leży tam drewniana kukła – anatomiczny manekin, z otworzonym i odrzuconym wieczkiem na czaszce.

Rozglądaliśmy się dokoła, szukając brakującego czubka głowy, mając nadzieję że go znajdziemy, że zmyliło nas pierwsze wrażenie i przypadkiem natknęliśmy się na jakieś laboratorium sekcyjne na otwartej przestrzeni, a to na co patrzymy, to okropnie wyglądające rekwizyty z plastiku i błyszczącego metalu, a nie z kości, mięśni i ciała.

Ale leżący na piasku człowiek miał nazwisko. Znaliśmy go od tygodni i wielokrotnie z nim rozmawialiśmy. To nie był medyczny manekin, lecz ludzkie ciało. Miało ohydnie powykręcane członki, oczy szeroko otwarte i patrzące niewidzącym spojrzeniem. Piasek pod głową leżącego człowieka zlepiony był skrzepniętą krwią. Rozglądaliśmy się za bronią, która rozbiła mu czaszkę, ale nigdzie nie było jej widać.

Szukaliśmy broni do chwili, kiedy znaleźliśmy odciski stóp w piasku. Były duże – niewiarygodnie wielkie i masywne. Takie ślady mógłby

zostawić ktoś noszący buty rozmiaru dwanaście, gdyby skóra z której zostały zrobione, rozmokła i rozkładała się szerzej wokół podeszwy.

— Biedny człowiek — wyszeptał Harry.

Wiedziałem, co czuje. Wszyscy lubiliśmy Neda. Nieszkodliwy mały facecik, bardzo lubiący samotność; gość który nie miał w głowie nawet jednej złej myśli. Szczęśliwy mały człowieczek kochający śpiew i taniec w blasku wysoko strzelających płomieni ognisk. Miał banjo i był dobry jeśli chodzi o układanie muzyki. Kto mógł nienawidzić Neda, z taką prymitywną i barbarzyńską wściekłością? Popatrzyłem na Harry'ego i zobaczyłem, że zastanawia się nad tą samą rzeczą.

Harry wyglądał niezbyt dobrze, jakby miał się za chwilę załamać. Opierał się o studnię, z cierpieniem i furią w oczach.

— Mordercze bydlę! — wymamrotał. — Chciałbym go dorwać, złapać za gardło i wydusić mu dech z piersi. Kto mógłby chcieć zrobić taką rzecz Nedowi?

— Ja też nie potrafię sobie tego wyobrazić — powiedziałem.

I w tej chwili sobie coś przypomniałem. Nie wydaje mi się, żeby Molly Egan naprawdę kochała Neda. Ciekawą rzeczą w tym było, że Ned nawet nie potrzebował takiego rodzaju miłości, jaką ona mogła mu dać. Był całkiem samowystarczalnym człowieczkiem, pomimo swej kruchości, i tak naprawdę nie potrzebował kobiety, aby się o niego troszczyła. Ale Molly musiała w nim widzieć coś patetycznego.

Molly była piękną kobietą, na swój sposób, i nie było w obozie mężczyzny, który by nie zazdrościł Nedowi. To było zastanawiające, lecz mogło wyjaśniać, czemu Ned leżał rozciągnięty na piasku z rozwaloną głową. Mogło wyjaśniać, dlaczego ktoś go nienawidził aż tak bardzo żeby go zabić.

Nie ruszając nawet palcem, Ned zdobył miłość Molly. To mogło doprowadzić jakiegoś innego faceta do takiej furii, jak hienę w klatce – to znaczy innego faceta o złym charakterze. Nawet niewielki mężczyzna byłby w stanie rozwalić Nedowi głowę, ale odciski w piasku były duże.

Ilu ludzi w obozie nosiło buty rozmiaru dwanaście? To było pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary i zawisło w rozświetlonym powietrzu między mną i Harrym, jak niewypowiedziane wyzwanie. Można było niemalże dostrzec łuk wielkiego znaku zapytania wiszącego w oślepiającym blasku słońca.

Pomyślałem przez chwilę, patrząc na Harry'ego. Potem wziąłem długi, głęboki wdech i powiedziałem:

— Chyba lepiej będzie, jeśli porozmawiamy o tym najpierw z Billem Seatonem. Jeśli wieści zbyt szybko się rozejdą, to te odciski stóp zaraz zostaną zadeptane. A kiedy nastroje ulegną podgrzaniu, wszystko może się zdarzyć.

Harry skinął głową. Bill był człowiekiem, na którym można było polegać w nadzwyczajnych sytuacjach. Chłodny, zrównoważony, efektywny, otaczała go aura przywódcy wymuszająca szacunek. Czasami bywał uparty jak osioł, ale jego poczucie sprawiedliwości było tak ostre jak skalpel.

Harry i ja ruszyliśmy po cichu przez łachę skłębionego piachu i zatrzymaliśmy się pod drzwiami baraku Billa. Bill był kawalerem i wiedzieliśmy, że w środku nie ma żadnej kobiety, która mogłaby tupnąć nogą i oznajmić mu, że jest głupcem, zachowując się jak prawy człowiek. Albo może jakaś tam jest? Musieliśmy zaryzykować.

Egzekwowanie prawa jest niewdzięczną robotą, zarówno na Ziemi, jak i na Marsie. Dlatego właśnie przyciąga najgorszych – albo najlepszych. Jeśli ktoś jest żądnym władzy sadystą, bierze tę robotę dla przyjemności, jaką mu ona sprawia. Ale jeśli ktoś jest naprawdę zainteresowany utrzymywaniem przemocy w ryzach, żeby całkiem przyzwoici ludzie dostali szansę budowy swej przyszłości, bierze tę pracę nie myśląc o innej nagrodzie niż zwykła satysfakcja z podania pomocnej dłoni.

Bill Seaton był takim właśnie człowiekiem, nawet jeśli cieszył go blask reflektorów i lubił pełnić funkcję przywódcy.

— Chodź, Harry — powiedziałem. — Obudźmy go i miejmy to wszystko już za sobą.

Weszliśmy do baraku. Bill spał na podłodze, z długimi nogami podciągniętymi do góry. Usta miał otwarte i zdrowo sobie chrapał. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak bardzo wyglądał na przerośniętego polnego konika. Ale to było tylko pierwsze wrażenie, wywołane przez napięte jak postronki nerwy.

Pochyliłem się i obudziłem Billa, potrząsając nim. Złapałem go za ramię i trząsłem go do chwili kiedy kłapnął szczęką i poderwał się wyprostowany, nagle gotów do akcji. Natychmiast całe groteskowe wrażenie znikło jak kamfora. Spłynęła na niego godność i otuliła go jak płaszcz.

— Ned, mówicie? Biedny, mały palant! Boże, pomóż mi… jeśli dostanę w swoje ręce tego szczura, który to zrobił, usmażę go na wolnym ogniu!

Wstał i pokuśtykał do szafki z rzeczami, wyjął z niej kask przeciwsłoneczny i parę szortów. Ubrał się szybko, nieustannie przeklinając i zaczął wyglądać przez drzwi na jaskrawe światło poranka, tak jakby chciał rzucić się z pięściami na pierwszego podejrzanego typa, który mu stanie na drodze.

— Nie możemy pozwolić na zadeptanie tych śladów stóp — wymamrotał. — Jest tu cała masa głupawych baranów, którzy nie mają najmniejszego pojęcia o konieczności niezacierania śladów. Te odciski mogą być jedyną rzeczą, która pomoże nam pójść dalej.

— Bill, na razie wystarczy nasza trójka, żeby się tym zająć — zauważyłem. — Kiedy zdecydujesz, co należy zrobić, możemy obudzić innych.

Bill skinął głową.

— Utrzymywanie tego w ciszy, to ważna rzecz. Przyniesiemy go tutaj. Kiedy ujawnimy całą sprawę, chcę żeby ciała nie było na widoku.

Harry, Bill i ja, podjęliśmy kolejną wyprawę przez powódź słońca. Popatrzyłem na Harry'ego i zielonkawy odcień jaki pojawił się na jego twarzy, wywołał u mnie wstrząs. Ciężko to przyjął, pomyślałem. Gdybym go tak dobrze nie znał, mógłbym wyciągnąć z tego jakieś paskudne

wnioski. Ale po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić Harry'ego, kłócącego się z Nedem o Molly.

A jak przyjmowałem to ja sam? Uniosłem dłoń i przyjrzałem się jej. Ani śladu drżenia palców. Nerwy mocne, umysł jasny. Żadnej przyjemności związanej z egzekwowaniem prawa – tę część zostawiamy Billowi. Ale stała przed nami okropna robota, i byłem gotów się jej podjąć, tak jak można było tego oczekiwać.

Czy próbowaliście kiedykolwiek podnosić trupa? Zwłoki obcego łatwiej jest podnieść, niż zwłoki człowieka, którego się znało i lubiło. Harry i ja wzięliśmy go razem. Waga wiszącego między nami ciała, wcale nie była trudna do zniesienia – przynajmniej nie na początku. Ale szybko zmieniło się ono w obwisły bezwładny ciężar i zwisało nam w rękach jak jakaś przemoczona kłoda, wyciągnięta z ciemnych wód kanału

Zanieśliśmy go do baraku i rozciągnęliśmy na podłodze. Głowa o padła mu do tyłu, a oczy bielały otwarte.

W śmierci zawsze jest coś wstydliwego. Obnaża ona wszystkie niedociągnięcia człowieka i drwi z ludzkiej godności oraz z buntu człowieka przeciw okrucieństwu losu.

Przez chwilę staliśmy spoglądając w dół na wszystko, co pozostało z Neda. Popatrzyłem na Billa.

— Ilu ludzi w obozie nosi buty w rozmiarze dwanaście?

— Zaraz się tego dowiemy.

Przez cały ten czas, nawet nie wspomnieliśmy o Larsenie. Ani słowa odnośnie Larsena, ani jednego słóweczka. Oszustwo – tak, zgadza się. Kłamstwo, zdradziecka nielojalność, złośliwość, perfidia – też może być. Bójki wokół ognisk o północy, poobijane twarze, złamane nadgarstki i przekleństwa, które nigdy nie ustawały. Wszystko to mogliśmy zwalić na Larsena. Ale nieszkodliwy malutki facet, leżący martwy koło studni w rozlewającej się kałuży krwi – to była potworność, która ucięła jak nożem nasze legendotwórcze zapędy.

Jest w ludzkim umyśle coś, co cofa się przed zbyt odrażającym samooszukiwaniem się. Jakże by było wspaniale, gdyby można było powiedzieć:

— Znowu ostatniej nocy był tu Larsen. Znalazł małego człowieczka, który nigdy nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy, stojącego koło studni w świetle księżyca. Tylko dla samej przyjemności postanowił zabić tego człowieczka, dokładnie w tamtym miejscu.

Tak tylko, żeby dodać kolejnego blasku legendzie, tak tylko aby przez obóz przemknął dreszczyk podniecenia.

Nie, to byłoby jakieś kolosalne kłamstwo, w które żaden człowiek przy zdrowych zmysłach, nie byłby w stanie w pełni uwierzyć.

Potem, wydarzyło się coś jeszcze, co nas jeszcze bardziej zniechęciło.

Najbardziej niepokojącym dźwiękiem, jaki można usłyszeć na Marsie jest poszeptywanie. Zazwyczaj rozpoczyna się ono ledwie słyszalnym szmerem i zaczyna nabierać siły z każdym podmuchem wiatru. Teraz jednak rozpoczęło się ono od głośnego tonu, który ciągnął się i nie ustawał.

Był to szept martwej rasy. Marsjanie są tak nieuchwytni jak elfy i nawet cała bezwzględna logika nauki nie zdołała wyciągnąć ich na światło dzienne, aby stanęli przed ludzkością w bezkompromisowej arogancji, jako partnerzy równi ludzkiej rasie.

To niepowodzenie było tragedią samą w sobie. Jeśli supremacja człowieka w ogóle miałaby stanąć pod znakiem zapytania, to tylko zagrożona przez stworzenia z ciała i kości, dwunogi o wielkim mózgu, które muszą zabijać aby przeżyć. Byłoby to już znacznie lepsze, niż widmowe zjawy w gęstniejącym zmroku, szepty, szmery i długie westchnienia wieszczące śmierć.

Och, Marsjanie byli całkiem rzeczywiści. Latający wampir nietoperz jest rzeczywisty, albo żądlące płaszczki w błękitnych wodach lagun. Ale kto mógłby wskazać na Marsjanina i powiedzieć mu: „Widziałem cię wyraźnie, w jasnym świetle dnia. Patrzyłem w twoje sowie oczy i obserwowałem cię jak wędrujesz przez piaski na swych cienkich, patykowatych nogach. Wiem, że nie wiąże się z tobą nic tajemniczego. Jesteś jak wodny owad ślizgający się po powierzchni stawu na zwyczajnej łące na Ziemi. Jesteś szybki i czujny, ale nie dorównujesz człowiekowi. Jesteś niczym więcej, niż tylko interesującym owadem.”

Kto mógłby to powiedzieć, skoro głęboko pod piaskiem, leżały pogrzebane ruiny zadające kłam tego rodzaju twierdzeniom. Po pierwsze ruiny, a do tego sami Marsjanie, zawsze ulotni, podobni do gnomów, do goblinów, znikający gdzieś w oddali, rozpływając się w mrokach.

Pomyśl sobie, że jesteś archeologiem porównawczym, który przybył na Marsa z pierwszą falą twardych młodych ludzi, wylewających się ze statku kosmicznego z misją w oczach. Widzisz jak ci młodzi ludzie kopią studnie i harują na pustyni. Widzisz wyrastające wszędzie grupy prefabrykowanych baraków, kłębowiska maszynerii, coraz bardziej krzepnące obozowiska z nocnymi awanturami i szaleńczymi eskapadami. Widzisz miasteczka na pustyni, komitety wymuszające prawo, wielbicieli obozowisk, fanatyków reformy.

Jesteś trzeźwo myślącym naukowcem, a więc zaczynasz kopać w ruinach. Wydobywasz dziwnie wyglądające cylindry, szpule nawiniętych filmów, przyrządy naukowe tak złożone, że przy nich wysiadasz.

Zaczynasz zastanawiać się nad Marsjanami – jak wyglądali, kiedy byli młodą, dumną rasą. Jeżeli jesteś archeologiem, zastanawiasz się. Ale Bill i ja… ciągle jeszcze byliśmy tymi młodymi ludźmi. Och pewnie, byliśmy już po trzydziestce, ale kto mógłby coś takiego pomyśleć? Bill wyglądał najwyżej na dwadzieścia siedem lat, a i ja na głowie nie miałem ani jednego siwego włosa.

III

Bill kiwnął głową w stronę Henry’ego.

— Lepiej tutaj zostań. Tom i ja pójdziemy zadać parę trudnych pytań, i nasz pierwszy ruch zależeć będzie od odpowiedzi, jakie na nie usłyszymy. Nie pozwól nikomu kręcić się po baraku. Jeśli ktokolwiek wsadzi łeb do środka i zacznie się niegrzecznie zachowywać, ostrzeż go tylko raz – potem strzelaj, żeby zabić.

Wręczył Harry'emu broń.

Harry skinął ponuro głową i usadowił się na podłodze, niedaleko Neda. Po raz pierwszy od kiedy go poznałem, Harry wydawał się być w pełni pewien samego siebie.

Kiedy wyłoniliśmy się ze środka baraku, poszeptywanie było takie głośne, że cały obóz znalazł się w stanie podwyższonej czujności. Nie musieliśmy więc chodzić od baraku do baraku, obserwując zaskoczenie i wstrząs w oczach innych.

Między barakiem Billa i studnią, było już ze dwunastu ludzi, a może nawet więcej. Wpatrywali się ponuro w światło poranka, jakby widzieli na niebie krew, spływającą na powierzchnię ziemi i rozlewającą złowrogą kałużą u ich stóp. Ta iluzoryczna kałuża odzwierciedlała ich własne głęboko skryte nastroje, odzwierciedlała powęźlony sznur i napięte nerwowo ramiona ludzi, zbyt mściwych by znać pojęcie samokontroli.

Jim Kenny stał z boku, sam, jakieś czterdzieści stóp od studni, patrząc prosto na nas. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, pokazując część swej owłosionej piersi, a wielkie dłonie wsunął głęboko za pas. Stał wyprostowany, podkreślając jeszcze bardziej swoje około sześciu stóp i trzech cali wzrostu. Potężny mężczyzna, o bardzo dużych stopach.

Szturchnąłem Billa w ramię.

— Co o nim myślisz? — spytałem go.

Kenny wydawał się być prawdopodobnym podejrzanym. Molly przyciągnęła jego uwagę już od samego startu, i nie tracił czasu, żeby zacząć się wokół niej kręcić. Facet taki jak Kenny, mógłby uznać, że taka porażka dla człowieka jego pokroju, stanowić może potężny cios dla dumy. Wyobraźcie sobie tylko Kenny'ego przegrywającego z takim niewielkim człowieczkiem, jak Ned. Mogło go to doprowadzić do furii i zasnuć mu oczy czerwoną mgłą nienawiści.

Bill odpowiedział na moje pytanie powoli, z oczyma utkwionymi w krótko ostrzyżoną głowę Kenny'ego.

— Myślę, że powinniśmy przyjrzeć się jego butom — stwierdził.

Skręciliśmy w jego kierunku, pieczołowicie uważając, żeby nie wchodzić w drogę innym ludziom, udając że idziemy sobie w stronę studni na poranną przechadzkę.

Wtedy ze swego baraku wyszła Molly. Stanęła w jasnym blasku poranka mrugając przez chwilę oczyma, rozpuszczone włosy opadały jej skłębioną ciemną masą na ramiona, a wzrok nadal jeszcze zasnuty był odrobinę mgiełką snu. Miała na sobie pantofle w rdzawym kolorze i dopasowany do ciała żółty szlafrok, przewiązany w pasie.

Tak dokładnie rzecz biorąc, Molly trudno było uznać za piękność. Ale było w niej coś poruszającego, i bez trudu można było zrozumieć, że człowiekowi takiemu jak Kenny, trudno było jej się oprzeć.

Bill spojrzał kątem oka na Kenny'ego, a potem wzruszył ramionami i popatrzył prosto na Molly. Zwrócił się do mnie, ściszając głos niemal do szeptu.

— Tom, ona musi się o tym dowiedzieć. Ty to zrób. Ona bardzo cię lubi.

Sam się nad tym zastanawiałem – jak bardzo mnie lubi. Trudno było powiedzieć.

Bill dostrzegł moje wahanie i zmarszczył brwi.

— Zobaczysz, czy czegoś nie ukrywa. Jej reakcja może dać nam jakąś wskazówkę.

Molly wyglądała na zaskoczoną, kiedy zobaczyła jak zbliżam się do niej, bez swej normalnej maski na twarzy, którą zazwyczaj nosiłem gdy okręcałem ją w tańcu, szczerzyłem zęby w uśmiechu, wichrzyłem jej włosy, mówiłem jej że jest najsłodszym cukiereczkiem, jaki można sobie wyobrazić i że będzie dla jakiegoś mężczyzny – ale nie dla mnie – wspaniałą żoną.

To sprawiło, że jeszcze trudniej było mi jej o wszystkim powiedzieć. Najtrudniej było na końcu – kiedy popatrzyła na mnie pozbawionymi łez oczyma i zarzuciła mi ramiona na szyję, tak jakbym był ostatnim oparciem, jakie pozostało jej na Ziemi.

Przez chwilę niemal zapomniałem, że nie byliśmy na Ziemi. Na Ziemi może byłbym w stanie pocieszyć ją w najbardziej rozsądny sposób. Ale na Marsie, kiedy kobieta pada ci w ramiona, twoje emocje mogą stopnieć w ciągu paru sekund.

— Spokojnie — szepnąłem jej. — Jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, pamiętasz?

— Chętnie bym o tym zapomniała, Tom — odparła.

— Przeżyłaś straszliwy wstrząs — szepnąłem. — Naprawdę kochałaś tego małego człowieczka – bardziej niż ci się wydaje. To dosyć naturalne, że pojawiły się u ciebie jakieś cieplejsze uczucia w stosunku do mnie. Tak to już tutaj jest – a więc, pocałowałaś mnie.

— Nie, Tom. To zupełnie nie tak…

Po czymś takim mógłbym sobie pozwolić by pójść trochę dalej, gdyby nie patrzył na nas Kenny. Stał przez chwilę jak wmurowany, gapiąc się na Molly. Potem oczy zwęziły mu się i ruszył w naszą stronę, ciągle z dłońmi wsuniętymi za pas.

Spojrzałem szybko na Molly i zobaczyłem, że rysy jej twarzy stwardniały. W jej oczach pojawił się wyraz ponurej podejrzliwości. Bill także obserwował Kenny'ego, czekając na jego ruch. Synchronizował swoje kroki razem z Kennym, zmierzając w tym samym kierunku tylko z innego kąta, tak wyliczonym tempem, by spotkać się z nim niby przypadkowo, tuż przed nami.

Bill nie wyciągnął broni, ale jego dłoń nie opuszczała miejsca na biodrze. Jego głos zabrzmiał czysto i ostro i czuło się w nim ostrze zimnego zdecydowania.

— Czy wiesz coś o tym, Kenny?

Napięcie zdawało się paraliżować twarz Kenny'ego, ale w jego oczach nie było widać paniki, ani nawet błysku obawy.

— O czym to niby miałbym wiedzieć? — spytał.

Bill nie odezwał się ani słowem. Po prostu tylko przyglądał się butom Kenny'ego. Odrobinę się cofnął i nadal się przyglądał, tak jakby coś krytycznie ważnego umknęło mu i znalazło schronienie pod rozmokniętą skórą otaczającą stopy Kenny'ego.

— Jaki rozmiar butów nosisz, Jim? — zapytał.

Kenny musiał podejrzewać, że pytanie to było naładowane taką ilością ryzyka wybuchu jak ładunek podłączony pod detonator ustawiony eksplozję przy najlżejszym drgnięciu. W jego oczach narastał spryt i drwina.

— A więc, to ten facet, który zostawił ślady na piasku? — spytał. — Ślady wielkich butów?

— Zgadza się — potwierdził Bill. — Masz bardzo bystry umysł.

Po tych słowach Kenny roześmiał się, a drwina w jego spojrzeniu jeszcze się pogłębiła.

— No cóż — oznajmił, — chodźmy więc popatrzeć na te ślady i jeśli to cię trochę uspokoi, mogę zdjąć buty, tak byś mógł je przymierzyć, czy pasują pod względem rozmiaru.

Kenny, Bill i ja szliśmy powoli razem spod baraku Molly, w gorącym i oślepiającym świetle poranka, a poszeptywanie brzmiało dalej, wnikając nam pod skórę w wyjątkowo bolesny sposób.

Kenny ciągle miał na twarzy ten irytujący uśmiech. Popatrzył na odciski i chrząknął:

— Taaa — stwierdził, — faktycznie są dosyć duże. Największe ślady stóp, jakie kiedykolwiek widziałem.

Usiadł i zaczął rozsznurowywać buty. Najpierw prawy but, potem lewy. Zdjął je z nóg i podał Billowi.

— Przyłóż je — powiedział. — Zmierz jakiego są rozmiaru. Zmierz jaki ja mam rozmiar, i do diabła z tobą!

Bill dokładnie sprawdził. Było osiem odcisków, i starannie przyłożył buty do każdego z nich. Za każdym razem, pozostał wyraźny zapas miejsca.

To w pełni oczyszczało Kenny'ego. Nie był zabójcą – przynajmniej nie tym razem. Mogliśmy poderwać obóz do szaleństwa samosądu, i Kenny umarłby za zbrodnię, którą popełnił inny człowiek. Zamknąłem oczy i ujrzałem Larsena jak kiwa do mnie ze szczytu dachu, z czarnym kapturem naciągniętym na twarz. Zobaczyłem też Molly stojącą na słońcu u mego boku, z twarzą zmienioną w kamienną maskę.

Kiedy otworzyłem oczy, Kenny szczerzył się do nas pogardliwie. Sprawdził nasz blef i wygrał. Teraz pałeczka przeszła w inne ręce.

Zimny chłód przebiegł w górę mego kręgosłupa. Dla odmiany to Kenny zaczął się wpatrywać, i spoglądał prosto na moje stopy. Stanął trochę dalej i przez cały czas się przyglądał. Wyolbrzymiał swój nagły triumf, w sposób, który ścinał mi krew w żyłach.

Wtedy zauważyłem, że Bill wpatruje się także – prosto w buty człowieka, którego znał od trzech lat i coraz bardziej go lubił i mu ufał. Ale pokłady leżącego pod spodem ciepła i przyjaźni, były w Billu twarde jak granitowa opoka, którą nic nie było w stanie wstrząsnąć.

Jako pierwszy odezwał się Bill.

— Chyba lepiej będzie, jeśli je zdejmiesz, Tom — zaproponował. — Miejmy to już za sobą.

Pewnie, byłem wielki. Urosłem szybko już jako dzieciak, i w wieku osiemnastu lat ważyłem dwieście trzydzieści funtów, przy dosyć szczupłym ciele. Jeśli buty były duże, mogłem czasami wcisnąć swe stopy w rozmiar dwanaście, ale wygodniej czułem się w obuwiu rozmiar lub dwa większym.

Sprawę pogarszał fakt, że Molly mnie lubiła. Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy jakoś związani, ale nikt nie wiedział jak bardzo. Nikt nie wiedział, czy się kłóciliśmy, czy nie, ani jak szaleńczo mogłem być o nią zazdrosny. Nikt nie wiedział, czy Molly tylko udawała, że lubi Neda, podczas gdy zastawiała sidła na mnie, ani jak bardzo niebezpiecznie złożona sytuacja mogła się z tego rozwinąć.

Stałem w zupełnej ciszy, nasłuchując. Poszeptywanie stało się teraz tak głośne, że zagłuszyło zupełnie westchnienia wiatru. Popatrzyłem w dół, na swoje buty. Były pobrudzone błotem, rozmokłe i odbarwione. Dzień za dniem krążyłem między kanałem i barakami, w oślepiającym blasku słońca, nie zwracając najmniejszej uwagi na swoje stopy, dopóki ból w nich nie stał się niemożliwy do zniesienia, a odpoczynek absolutnie konieczny.

Mogłem zrobić tylko jedno – sprawdzić bluff Kenny'ego tak szybo, żeby nie miał czasu rzucić na mnie kolejnych oskarżeń.

Wręczyłem Billowi oba moje buty. Popatrzył na mnie i skinął głową. Czekałem nasłuchując, jak poszeptywanie narasta i cichnie, patrząc jak nachyla się i dopasowuje buty do śladów na piasku.

Wyprostował się raptownie. Jego twarz pozbawiona była wyrazu, ale widziałem jak toczy ze sobą ciężką walkę wewnętrzną.

— Twoje buty są bardzo bliskie temu, by wypełnić te ślady, Tom — oznajmił. — Nie jestem do końca pewien, ale badania woskowego odcisku powinny to całkiem nieźle wyjaśnić. — Złapał mnie za ramię i kiwnął głową w stronę baraków. — Lepiej trzymaj się blisko mnie.

Kenny zrobił powoli krok do tyłu, z zaciśniętymi zębami, a jego oczy przeszukiwały twarz Billa.

— Badania woskowego odcisku, niech to diabli! — powiedział. — Masz swojego mordercę. Mam zamiar dopilnować, żeby dostał to, co mu się należy – natychmiast!

Bill pokręcił przecząco głową.

— Zrobię to na swój sposób — oświadczył.

Kenny popatrzył na niego gniewnie, a następnie roześmiał się ochryple.

— Możesz nie mieć szansy — zagroził. — Chłopcy się na to nie zgodzą. Mam zamiar rozgłosić wszystko po obozie, i lepiej się stanie jeśli nie będziesz próbował mnie powstrzymać.

To załatwiło sprawę. Próbowałem się powstrzymać, ale poczułem nagły, przemożny impuls żeby przywalić pięścią Kenny'emu w gębę, tak że aż padnie na ziemię i nakryje się kopytami. Ruszyłem w jego stronę, lecz odskoczył do tyłu i zaczął wrzeszczeć.

Nie mogę sobie przypomnieć dokładnie co wykrzykiwał. Ale powiedział wystarczająco dużo, żeby zacisnąć mi pętlę na szyi. Wszyscy mężczyźni i kobiety, kręcący się między barakami i studnią, zebrali się dokoła, żeby gapić się na mnie. Widziałem jak w oczach ludzi, którzy zwykle mieli mocne nerwy, rozpala się szok i wściekłość. Teraz już nie byli spokojni – żadne z nich.

IV

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. W ostrym marsjańskim słońcu emocje ludzkie mogą być tak niestabilne, jak usypywane przez wiatr wydmy.

Przez mój umysł przemknęła głupia myśl: Czy Molly także w to uwierzy? Czy dołączy się do tych szaleńców, ogarniętych dzikim pragnieniem zemsty. Moja potrzeba jej obecności, stała się nagle przemożna. Nawet widok jej twarzy mógłby mi pomóc, ale do tego czasu z baraków wyszło jeszcze więcej ludzi i nigdzie nie mogłem jej dostrzec spoza zbierającego się tłumu. Wszyscy zmierzali prosto ku mnie, i wiedziałem, że nawet Bill może nie dać rady ich powstrzymać.

Nie można dyskutować z lawiną. Toczyła się ona prościutko w moją stronę, w miarę zbliżania się nabierała coraz większego pędu – już nie jeden człowiek, czy kilkunastu – ale potężna ściana ludzkiej nienawiści i szaleństwa.

Bill robił co mógł. Wyciągnął broń i zaczął krzyczeć, że ślady nie mogły zostać zrobione przez moje buty. Dopisałem to jako kolejny dług wdzięczności wobec niego i postanowiłem, że nigdy mu tego nie zapomnę.

Wiedziałem, że abym miał jakąkolwiek szansę na to by mu się odwdzięczyć, muszę dać drapaka. Biegłem tak szybko jak tylko byłem w stanie, wbijając swój wzrok w rozbłyski słońca migocące na wyrastających wydmach i głębokich dziurach, które uważnie wymierzony pocisk mógłby szybko zmienić w kurhan pogrzebowy.

Powietrze rozdarła nagła seria ostrych trzasków strzałów z broni palnej. Dokładnie na mojej drodze wystrzeliły w górę gejzery wyrzuconego przez kule piasku. Ktoś nie był zbyt dobrym strzelcem, albo pozwolił, by ślepa furia wytrąciła go z równowagi i zakłóciła jego celność. Wielu tego rodzaju ktosiów – ponieważ ogień nasilał się i błyskawicznie zmienił się w niemal nieustanny, ponure trzaski w których zatonęło poszeptywanie i wzdychanie wiatru.

Wtedy nagle wszystko ucichło. Na pustyni zapadła głucha cisza – nienaturalna, przerażająca cisza, tak jakby sama natura wstrzymała oddech i czekała aż ktoś zacznie krzyczeć.

Musiałem chyba oszaleć, żeby się odwrócić. Zmieniający chaotycznie kierunek biegu cel ma jakieś szanse, ale cel stojący bez ruchu jest jak na patelni, a jego życie zawisło na włosku. Ale pomimo wszystko, zatrzymałem się i odwróciłem.

Pomiędzy studnią i barakami stało się coś, co powstrzymało pościg od razu w blokach startowych. Jeden z baraków stał otoczony strzelającymi w górę płomieniami ognia, jakaś kobieta krzyczała, a stojący koło niej mężczyzna siłował się z czymś ogromnym i bezkształtnym, co rysowało się wyraźnie na tle blasku poranka.

Ludzka postać? Nie byłem w stanie powiedzieć. Wydawała się jakaś potworna, z dziwnym wybrzuszeniem między ramionami, nadającym groteskowy i zniekształcony aspekt cieniowi rzucanemu na piach przez jego skręcone potężne ciało. Wiedziałem ten cień wyraźnie, z odległości trzystu stóp. Wydłużał się i skracał, jak gdyby ta ośmiornico-podobna potworność miała moc zniekształcania swej postaci zgodnie z własną wolą, wyrzucając jakieś macki, a potem znowu chłostając nimi do tyłu.

Ale to nie była ośmiornica. Stworzenie miało ręce oraz nogi, i miażdżyło mężczyznę w stalowym uścisku. Teraz to widziałem. Wpatrywałem się w to, tak jak wszyscy pozostali, odwróceni w tej chwili do mnie tyłem. Ich ślepa nienawiść do mnie momentalnie uleciała, zdmuchnięta przez poczucie znacznie większego zagrożenia.

Nagle zdałem sobie sprawę, że stwór miał ludzkie kształty. Miał głowę i ramiona tak jak człowiek, Tułów, który mógł się zwijać zgodnie z ruchem mięśni, potężne dłonie, które mogły ranić i kaleczyć. Odrzucił nieszczęsnego mężczyznę nagłym, konwulsyjnym skrętem całego ciała. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby człowiek poruszał się w taki sposób, ale nawet w trakcie tego dzikiego aktu przemocy, jego ludzki aspekt stał się jeszcze bardziej oczywisty.

Wtedy wydarzyło się coś strasznego. Kobieta wrzasnęła i rzuciła się w stronę potwornego szaleńca, z zakrzywionymi pazurami. Kołysząca się postać pochyliła się, schwyciła ją w pasie i uniosła ją wysoko w powietrze. Przez chwilę wydawało się, że zmiażdży ją tak jak zmiażdżył mężczyznę. Jednak myliłem się. Została ciśnięta na ziemię, ale z tak brutalną siłą, że natychmiast padła bez ruchu.

Potem brutalny szaleniec odwrócił się i zobaczyłem jego twarz. Jeśli można było czasami powiedzieć, że z ludzkiego oblicza wyziera potworne okrucieństwo i złośliwa chytrość, to właśnie te uczucia wylewały się z oczu, które spoglądały w mym kierunku, z bezlitosną nienawiścią.

Nie mogłem oderwać wzroku od tej twarzy. Bijącą z niej nienawiść dawało się wyczuć nawet przez oślepiającą mgiełkę blasku słońca, która zacierała ostre kształty fizycznych obiektów. Można było z niej jednak wyczuć coś znacznie więcej. W tej twarzy było coś przerażającego, tak jakby zło, które ją napiętnowało, miało palący rys samego Lucyfera!

Przez chwilę szaleniec stał bez ruchu, w niekwestionowany sposób prezentując swą potworną brutalność. Potem w jego stronę ruszył Jeff Winters. Jeff przyleciał na Marsa sam i z każdym mijającym dniem stawał się coraz większym samotnikiem. Był zamyślonym, introwertycznym człowiekiem, skrytym i ponurym, z cieniem gwałtowności, którą zazwyczaj był w stanie kontrolować. Dopadł szaleńca jak wielki terier, kudłaty, zażarty, przepełniony pogardą dla śmierci.

Wielka postać odwróciła się szybko, uniosła rękę i spuściła zaciśniętą pięść na czaszkę Jeffa. Jeffa padł jak strzaskany gipsowy posąg. Jego ciało zdawało się załamywać i rozszczepiać, kiedy padło rozciągnięte na pasku.

Już się nie podniósł.

Frank Anders miał rewolwery na obu biodrach i teraz wyciągnął je szybko. Nikt właściwie nie wiedział jakiego rodzaju człowiekiem był Anders. Niemal nigdy się nie skarżył, ani nie robił z siebie spektaklu. Mały facet o piaskowych włosach i zimnych niebieskich oczach, potrafił tak celnie strzelać, że mówiło to samo za niego.

Jego rewolwery nagle plunęły ogniem. Przez moment powietrze między jego dłońmi i szaleńcem zmieniło się w huczącą ścianę ognia. Szalone zwierzę zachwiało się lekko, ale nie skręciło. Biegł prosto na Andersa, z rozłożonymi szeroko ramionami.

Schwycił Andersa wpół, podniósł go w górę i uderzył jego ciałem o piasek. Patrząc na to, poczułem wzbierające we mnie mdłości. Szaleniec walnął głową Andersa o ziemię, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Wtedy nagle wielkie ramiona rozsunęły się i Anders padł bezwładnie na piach.

Przez chwilę szaleniec kołysał się powoli w przód i w tył, jak zaplamiona krwią marionetka na sznurkach. Potem ruszył przed siebie, strasznymi, powłóczącymi krokami, z pochyloną głową. Jego ciemny, bezkształtny cień zdawał się rozrastać za nim na piasku jak język ognia.

Cała otwarta przestrzeń wypełniła się nagle dźwiękiem. Furia, która nie została wyładowała na mnie, obróciła się teraz na potwora, zmieniając się w zamknięty krąg otaczającego go celowego działania – i został pochwycony w krzyżowy ogień, który cisnął go na wznak na ziemię.

Poderwał się i zaczął zmierzać w stronę studni. To, co się działo później, przypominało etap budzenia się z jakiegoś straszliwego koszmarnego snu. Szaleniec powłócząc nogami minął studnię, powietrze za jego plecami zmieniło się ścianę pełnego huku ognia. Ściana ta była ciągła i bezlitosna. Ludzie zdążyli się już zorganizować, stanęli koło siebie zwartym szeregiem, strzelając ze śmiertelną celnością i ponurym uporem, który zagłuszał strach.

Szaleniec przeszedł ciężkim krokiem koło mnie i wspiął się na wydmę, ciągle trzymając prosto ramiona. Otoczony pogłębiającym się blaskiem słońca pokonał wierzchołek wydmy i zniknął z zasięgu wzroku.

Odwróciłem się i patrzyłem na obóz. Pościg już minął studnię i kierował się w moją stronę. Ale nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Minęło mnie dwunastu mężczyzn, ustawionych trójkami. Ich śladem nadciągnął Bill, z oczami twardymi jak kamienie. Wyciągnął rękę, kiedy mnie mijał, złapał mnie za ramię o obdarzył uśmiechem z rodzaju naprawdę-niewiele-brakowało.

— Wiemy już kto zabił Neda — wyszeptał. — Wiemy już, stary. Tylko spokojnie, odpręż się.

W głowie mi huczało, ale z miejsca w którym stałem widziałem wielkie odciski stóp – ślady nóg mordercy, którego zdradziła jego nienasycona żądza mordu.

Widziałem mijającego mnie Kenny'ego, który posłał mi pogardliwy szeroki uśmiech. Zrobił co tylko mógł, aby mnie zniszczyć, ale we mnie nie pozostało już ani odrobiny nienawiści.

Powoli spróbowałem dać krok do przodu – i wylądowałem jak długi na twarzy…

Obudziłem się z głową na kolanach Molly. Spoglądała mi z góry w twarz, szlochając w nieco zabawny sposób i gładząc mnie palcami po włosach.

Wyglądała na zaskoczoną, kiedy zorientowała się, że jestem w pełni przytomny. Zamrugała gwałtownie oczyma i zaczęła szukać za pasem chusteczki.

— Musiałem zupełnie odpłynąć — powiedziałem. — To odrobinę denerwujące znaleźć się naprzeciw tłumu żądnego twojej krwi. A i to, co zobaczyłem później, również nie było specjalnie przyjemne.

— Ukochany — wyszeptała, — nie ruszaj się, nic nie mów. Wszystko będzie w porządku.

— Możesz się założyć, że już jest — odparłem. — W tej chwili czuję się po prostu wspaniale.

Moja dłoń przesunęła się wokół ramienia dziewczyny i przyciągnąłem jej głowę do dołu, aż poczułem ciepło jej oddechu na twarzy. Całowałem jej włosy, wargi, oczy przez całą minutę, zupełnie beztrosko.

Kiedy ją puściłem, oczy jej błyszczały, a z jej płaczem mieszał się śmiech.

— Zmieniłeś zdanie — stwierdziła. — Wierzysz mi teraz, tak?

— Nic nie mów — poprosiłem. — Nie chcę słyszeć nawet słowa. Chciałbym tylko na ciebie patrzeć.

— Od samego początku, to byłeś ty — powiedziała. — Nie Ned… ani nikt inny.

— Byłem ślepym głupcem — przyznałem.

— Nawet nie spojrzałeś na mnie po raz drugi.

— Jedno spojrzenie zupełnie wystarczyło — wyszeptałem. — Ale kiedy zobaczyłem to, co wydawało się rozwijać między tobą i Nedem…

— Nigdy nie byłam w nim zakochana. To była tylko…

— Dajmy spokój, nie mówmy o tym — przerwałem jej. — Teraz to już tylko przeszłość.

Przerwałem, przypominając sobie wszystko. Jej oczy również zrobiły się szerokie i zaskoczone, zauważyłem że i ona także dopiero teraz sobie to przypomniała.

— Co się stało? — spytałem. — Dopadli tego wrednego szczura?

Przeczesała sobie włosy na tyle głowy, słońce nagle pokazało surową zmarszczkę na jej twarzy.

— Wpadł do kanału. Kule powaliły go i przewrócił się na brzegu.

Jej dłoń zacisnęła mi się na nadgarstku.

— Bill mi opowiedział. Próbował odpłynąć, ale prąd wciągnął go pod wodę. Poszedł na dół i już więcej nie wypłynął.

— Cieszę się — oznajmiłem jej. — Czy ktoś z obozu widział go kiedykolwiek wcześniej?

Molly pokręciła głową.

— Bill mówił, że to pewnie jakiś włóczęga – niebezpieczny szaleniec, który musiał wpaść w obłęd przez słońce.

— Rozumiem — stwierdziłem.

Wyciągnąłem ręce i ponownie wziąłem ją w ramiona, odpoczywaliśmy przez chwilę leżąc wyciągnięci koło siebie na piasku.

— To zabawne — oznajmiłem po chwili.

— Co takiego?

— Wiesz przecież, co ludzie mówią o tym poszeptywaniu. Czasami, jeśli się w nie głęboko wsłuchać, wydaje się jakby było w nim słychać jakieś słowa, gdzieś w głębi umysłu. Tak jakby Marsjanie mieli zdolności telepatyczne.

— Być może, mają — powiedziała.

Spojrzał na nią bokiem.

— Pamiętaj — powiedział, — że na Marsie istniały miasta, kiedy nasi przodkowie byli jeszcze włochatymi małpami. Marsjańska cywilizacja rozkwitała i była wielka pięćdziesiąt milionów lat wcześniej, zanim wyrosły piramidy jako pomnik dla ludzkiej solidarności i wartości. Kiepski pomnik, zbudowany na pracy niewolników. Ale przynajmniej był to jakiś początek.

— Teraz robisz się strasznie poetycki, Tom — zauważyła.

— Może i tak. Marsjanie również muszą mieć swoje piramidy. A na etapie piramid musieli mieć swych Larsenów, którzy dźwigali ich wszystkie winy. Dla nich, my ciągle jeszcze możemy być na etapie piramid. Przypuśćmy…

— Przypuśćmy, co?

— Przypuśćmy, że chcieli nas ostrzec, dać nam nauczkę, której nie zapomnimy. Skąd możemy wiedzieć, czy ta umierająca rasa nie mogłaby ciągle jeszcze korzystać z pewnych zdobyczy techniki, które dalece przekraczają nasz poziom?

— Obawiam się, że nie rozumiem — stwierdziła, zaintrygowana.

— Kiedyś — wyjaśniłem — dzięki naszej wiedzy naukowej będziemy w stanie wziąć niewielki fragment ludzkiej tkanki z ciała martwego człowieka, włożyć go do maszyny inkubacyjnej, i z tego małego skrawka ciała ponownie wyrośnie nowy człowiek. Człowiek który znowu będzie chodził, oddychał i żył, znowu będzie kochał i znowu umrze po przeżyciu całego swego życia. Może marsjańska wiedza naukowa była kiedyś na tyle wielka, aby tego dokonać. A Marsjanie mogą ciągle pamiętać parę swych technicznych sztuczek. Być może z naszych ludzkich mózgów, z naszych pogrzebanych wspomnień i pragnień są w stanie wyłowić klucz i stworzyć przerażające życie tak potwornego i przerażającego tworu…

Jej zimna dłoń wsunęła się nagle w moją.

— Tom, nie mażesz uczciwie powiedzieć…

— Nie — przerwałem jej. — To nonsens, oczywiście. Zapomnij o tym.

Nie mogłem jej powiedzieć, co poszeptywanie zdawało się mówić, gdzieś w głębi mego umysłu.

Daliśmy wam Larsena! Pragnęliście Larsena, a my go dla was stworzyliśmy! Jego ciało i jego umysł – okrutną siłę i niegodziwe serce! I oto nadchodzi, oto jest! Larsen, Larsen, Larsen!

KONIEC